Rok VIII. Lwów, Niedziela dnia 16. Październ ka 1881 r. Tom XII.

TYDZIEŃ POLSKI

Nr. 42.

PRENUMERATA we LWOWIE
Tydzień . . . . . . kwartalnie 2 zł.
— z dodatkiem powieściowym „ 2 „ 50 ct.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
Tydzień . . . . . . kwartalnie 2 zł. 50 ct.
— z dodatkiem powieściowym „ 3 zł.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
W KSIĘGARNI POLSKIEJ
plac Halicki L. 14.
Godziny redakcyjne od 9—10 rano.

PRENUMERATA w W. Ks. POZNAŃSKIEM
Tydzień . . . . . . kwartalnie 6. m.
— z dodatkiem powieściowym . „ 7. „
PRENUMERATA we FRANCJI, ANGLJI, AMERYCE i t. d.
Tydzień . . . . . . kwartalnie 7 frank.
— z dodatkiem powieściowym „ 8 „

ZEFIREK

OBRAZEK Z ŻYCIA KOBIET

przez

ELIZĘ ORZESZKOWĄ

(Ciąg dalszy)

Wąsiki gościa drgnęły znowu i poruszyły się w sposób szczególny. Wiedział on dobrze, ten syn stryjecznego brata Ignacego, że w złożonym przed nim rachunku, kilku lat brakowało u początku, i kilku u końca. Niemniej jednak wymówił ze śmiechem.

— Trzydzieści kilka lat! rozkoszny wiek dla kobiety! Samo życie, sam rozkwit! Trzydziestokilkoletnie i nawet czterdziestoletnie kobietki, są właśnie najbardziej powabnemi! nous le savons, nous...

—Oh! vous! vous!—figlarnie pogroziła mu gospodyni, a pragnąc spojrzenie jego odwrócić jaknajdalej od nieszczęsnego komina i wyglądającego zeń garnka, zlekka ukazała palcem dom przeciwległy i zapytała:

— Vous avez rendu visite aux Roliccy?

— Oui; j'avais été là — odpowiedział. — Miałem interes...

Widocznie, oboje nie byli biegłymi we francuzczyźnie i używali jej błędnie i z trudnością. Lecz silili się na wtrącanie do rozmowy francuskich słów i frazesów, dla wzajemnego przypodobania się sobie.

— Jakże idą interesa? — troskliwie zapytała wdowa.

Wyraz niesmaku rozlał się po ładnej twarzy gościa. Uczynił ręką gest niechętny.

— Co tam mówić o takich nudnych i poziomych rzeczach! Kiedy jestem przy stryjeneczce, zapominam o wszystkich kłopotach i nieprzyjemnościach. *Vous êtes mon ange consolatrice!*

Promieniała od czułości i uradowania.

— Oh! parlez à moi avec le coeur ouvert! — wyrzekła z cicha; chociaż skrzydła moje są oddawna złamane, umiem jednak czuć i podzielać...

— Stryjeneczka jest doprawdy godną lepszego losu...

— Co tam! stało się! nie mówmy o tem...

— Ja stryjowi doprawdy nie mogę darować, że... że zostawił stryjenkę w takiem położeniu.

Rzuciła spojrzenie ku nieosłoniętemu kominowi.

— O, położenie moje wcale złem nie jest, oszczędzam się... to prawda; ale dobrowolnie, gusta mam skromne. Ignacy był może poziomym, pospolitym człowiekiem... miałam może prawo marzyć o czemś... o czemś wznioślejszem, ale... był on bardzo, bardzo dobrym, myślał i pamiętał o mnie...

— Rolicki mówił mi, że oprócz tego, co stryjenka mnie pożyczyła, ma kapitał u niego ulokowany...

— Ależ tak! jakże! mam kapitał...

— Mówił mi że trzy tysiące...

— Tak, u niego trzy tysiące, ale gdzieindziej...

Gość jednak wiedzieć musiał na pewno, że owe: gdzieindziej, nie istniało wcale, bo nie okazał ciekawości żadnej, tylko, do siebie jakby szepnął:

— U mnie trzy, tam trzy, to sześć!

Po dokonaniu dodawania tego, ocknął się niby ze snu i zawołał:

— Ale, jak Boga kocham, po co ja tracę miłe chwile i o takich poziomych rzeczach...

— Owszem, owszem — przerwała z żywością, czyż nie jesteś jedynym przyjacielem i opiekunem moim... O, wszyscy dawni przyjaciele i znajomi moi opuścili mię, gdy tylko mój Ignacy oczy zamknął. Ty jeden tylko Stasiu nie zapomniałeś o mnie i opuszczasz swój świat wesoły i błyszczący, aby odwiedzić i pocieszyć biedną samotnicę!

Łzy zakręciły się znowu w oczach jej, wyciągnęła rękę ku młodemu krewnemu swego męża. — Nosisz nazwisko mego Ignacego — szepnęła — jesteś synem kochanego Bolesława, z którym tyle, tyle chwil wesołych spędziłam... a przytem czuję, że dusze nasze są bratnie sobie, że jesteś zdolny zrozumieć te nieokreślone tęsknoty i nieujęte żale, które...

— O tak! tak! — całując ją w rękę przerwał z zapałem i pośpiechem; — jestem zdolny zrozumieć... mam bratnią duszę, to pewno nieboszczyka. Ojciec mój, pamiętam, zawsze mówił o stryjence: jaki to śliczny zefirek, ta moja bratowa!

Nie było już w oczach jej łez ani śladu. Śmiała się z rozkoszą.

— Doprawdy! więc pamiętasz jak mię Ignacy i cała rodzina jego nazywali zefirkiem? O, jaką ty dobrą masz pamięć! Zresztą, niezbyt to jeszcze dawno... — ciszej dodała:

— Kiedy byłam w domu rodziców moich, nazywano mię Sylfidą...

— Dla czegoż to? proszę stryjenki!— dość naiwnie zapytał gość.

Zarumieniła się lekko i mimowoli spojrzała po swej kibici.

— Byłam zawsze taka wysmukła, wiotka... — szepnęła.

— Aha! — odpowiedział ale markotniał widocznie i wesołość jego gasła pod napływem przykrych jakichś myśli.

— Stryjenciu — zaczął — dla czego stryjenka u Rolickiego ulokowała swoje pieniądze?... on to w biletach trzyma, a z tego procent mały...

— O — zaprotestowała — ja się na tem nie znam...

— Ale ja znam się i mówię stryjence, że to strata duża i niepotrzebna.

Spojrzał w okno i niedbale dodał:

— Teraz najlepiej jest lokować kapitały na obywatelskich majątkach...

— O, obywatele... to pewnie — zaczęła.

— Otóż to, chciałem nawet stryjenki zapytać, czy nie ulokuje tych trzech tysięcy u mnie?

— Mais comment! — zawołała — i owszem! dlaczegożeś wprzódy mi nie powiedział?

— Tak... przykro mi jakoś było... *mea culpa!* nie zapłaciłem jeszcze procentu ani Łopotnickiej ani stryjence...

— O co tam! co tam! nie mówmy o tem! — zaczęła, ale z zaniepokojonych jej oczu widać było, że kwestja procentu interesowała ją najmniej tyle, ile nie osłonięte wnętrze komina.

— Gospodarstwo teraz strasznie trudne, — mówił gość, nakłady i nakłady... a niepodobnaż znowu, aby człowiek zakopał się żywcem na wsi...

— Ależ naturalnie! Zakopać się na wsi! brrr!

Wzdrygnęła się ze wstrętem zupełnie szczerym.

— Jeżeli więc stryjenka chce i może...

— Mais comment donc! i chcę i mogę.

— Merci, merci! — wymówił z uczuciem i kilka razy pocałował ją w rękę.

— Pójdziemy razem do Rolickiego, zaraz, — rzekła i już wstawała z kanapki, gdy na dziedzińcu ozwał się rozgniewany i krzykliwy głos kobiecy. Była to kobieta wysoka, kształtnie i silnie zbudowana, w krótkiej spódnicy, grubem obuwiu i wielkiej chustce na głowie, która, trzymając w ręku spory kosz pełen bielizny, a zwrócona ku otwartym sionkom mieszkania, znajdującego się w drugim kącie dziedzińca, rozpoczynała z kimś zajadłą jakąś kłótnię. Odpowiadał jej z sionek głosik kobiecy także i także donośny, ale cienki i przerażenie bardziej niż rozgniewanie zdradzający. Z burzliwej rozmowy tej rzadkie zaledwie słowa dochodziły uszu p. Emmy i jej gościa. Słychać było coś o wyrzucaniu śmiecia na ścieżkę, o jakiejś wiązce drew, o jakiejś kwarcie mleka. Kobieta z koszem w ręku i chustką na głowie przedstawiała wyraźnie stronę napastniczą, ta która odpowiadała z głębi sionek, broniła się coraz bardziej płaczliwym głosem.

— Czy to panna Brygida? — zapytał Stanisław i szeroko otworzył oczy, tak, jakby świadectwu ich wierzyć nie chciał.

Na twarz p. Emmy wystąpił wyraz cierpienia, dosięgającego niemal stopnia męki. Wyglądała znowu o lat dziesięć starzej niż przed chwilą.

— Jestem bardzo nieszczęśliwą matką, — szepnęła. — Brynia dobra jest, serce ma najlepsze, ale sam widzisz... do czego to podobne, ażeby tak ubierać się i takie kłótnie zaprowadzać... Jest to natura gruba, pospolita... w ojca wrodziła się, który był dobry, o, bardzo dobry, ale nie miał tej delikatności uczuć... tej poezji serca, które były zawsze ideałem moim... Cóż robić! stało się! nie mówmy lepiej o tem...

Przykro wzruszona, pełnym wdzięku krokiem postąpiła ku komodzie, wyjęła z szuflady talerz z ciastkami i cukierkami i postawiła go przed gościem.

— Niech cię chociaż tem przyjmę, mój Stasiu, — rzekła serdecznie.

Stanisław uprzejmie wziął jedno z ciastek, gospodyni, białemi jeszcze ząbkami gryźć zaczęła cukierek, a pragnąc odwrócić uwagę gościa od toczącej się wciąż na dziedzińcu kłótni, z przykrem roztargnieniem i na chybił trafił zaczęła:

— Rolicki kamienicę buduje...

— A dlaczegóżby nie? Nabrał od nas pieniążków sporo i niezły sobie fundusik uciułał! Tacy to tylko jak on, żyć teraz i panować mogą!

— Ależ to bardzo zacny i rozumny człowiek, z żywością ujęła się za sąsiadem swym gospodyni. Ignacy mówił o nim zawsze, że fundusz jego uczciwie jest zapracowany...

— Może i uczciwie, nie przeczę temu wcale i nawet tak jest najpewniej, ale że wziął on fundusz ten nie z czyjej innej, tylko z naszej obywatelskiej kieszeni, to także prawda. No, niechże stryjeneczka sama powie, kto, jeżeli nie my, obywatele, utrzymujemy i wzbogacamy wszystkich tych panów adwokatów, doktorów i innych, podobnych parwenjuszów? Nieprawdaż? Niech stryjenka sama powie!

— Ależ naturalnie; to widocznie! — ulegając wpływowi słów jego, z przekonaniem odpowiedziała.

— I dziwią się potem, żeśmy goli! Ot powiem stryjence otwarcie, że chociaż mam jeszcze majątek i chwała Bogu, jestem w stanie długi moje najrzetelniej pospłacać, tak mi już i gospodarstwo te i interesy dokuczyły, że wolałbym sto razy być takim Rolickim niż tem, czem jestem.

P. Emma uczyniła gest pełen przerażenia.

— Stasiu! — zawołała, co mówisz? Jakież to porównanie może być pomiędzy tobą a Rolickim! Jesteś przecież obywatelem... o ileż to zaszczytniej, poetyczniej... wyżej...

— No tak, tak!... Któż o tem nie wie, ale świat tak się teraz do góry nogami przewrócił, że gdzie nieszczęsny obywatel ten obróci się, tam kłopot, gdzie stąpi, tam zgryzota...

Musiał mieć istotnie wiele zgryzot i kłopotów, żądań może, których zadowolnić nie mógł, obaw, które instynktowo, pod wpływem samozachowawczego zmysłu, uczuwał. Czoło jego sfałdowało się, twarz oblała się smutkiem, nerwowym ruchem targał ładnego wąsika. Nagle, łzy mu nabiegły do oczu, pochwycił rękę p. Emmy i do ust ją poniósł.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

LORD BYRON

jego charakter i umysł

napisał

FELIKS LEWICKI.

(Ciąg dalszy.)

Byron zamieszkiwał starożytny zamek Saluzzo we wsi Albaro, o pół godziny drogi od Genui oddalonej. Główny front gmachu na obszerny wychodził ogród, druga zaś część na dziedziniec.

Pomieszkanie jego było obszerne i dosyć ze smakiem umeblowane; w sypialni, obok innych obrazów, wisiał portret jego i portret jego córki Ady, o której zwykle mówił:

— Powiadają że posiada wielkie zdolności; pragnąłbym aby to była nie prawda, nie chciałbym bowiem aby była poetką!

Jego własny pokój, nie miał żadnej cechy szczególnego wyszukania, Byron nie był zapalonym wielbicielem sztuki. Żadnego nie okazywał zachwytu przed wspaniałem malowidłem lub posągiem. Mawiał nawet, że nie wierzy w tych, którzy wpadają w uniesienie przed obrazami; że to są po prostu *amatori senza amore*, albo *conoscitori senza cognizione*.

Dowodził często, jak mu okoliczności doradzały i jak wymagały, więc i temu, co mawiał o sztuce, wierzyć bardzo nie należało. Wielki wpływ na niego wywierała muzyka, chociaż nie miał o niej najmniejszego pojęcia. Zapach kwiatów oddziaływał na niego w sposób nadzwyczajny.

— Zapach kwiatów — mawiał — uczuciem jakiemś niewymownem na wskroś mnie przejmuje.

Byron miał dar wielki do uchwycenia brzydkiej strony w osobie jakiejś, prędzej widział złą część obrazu, aniżeli piękną i z tego też powodu bardzo szczupłe było kółko ludzi, których mógł nazwać przyjaciółmi. Serdeczną czuł sympatję dla Tomasza Moora i wyrażał się zawsze o nim, jako o dobrym obywatelu, o zacnym mężu i towarzyszu, chociaż mówił o jego poezjach z lekceważeniem. Jednakże rzekł pewnego razu do lady Blessington:

— Moora „Melodje“ przejdą do potomności, są bowiem przedziwnie piękne.

Żywił także wielką przyjaźń dla Schelleya, który taką rolę wielką w romantyzmie angielskim odegrał i który w końcu tak nieszczęśliwie zginął w morskiej katastrofie.

— Był to człowiek — mawiał Byron — najprzyjemniejszy, najwięcej kochający i najmniej posiadający słabości ludzkich. Był delikatny i bezinteresowny, stojący wyżej nad wszystko, co w życiu spotykamy; posiadał geniusz i rzadką prostotę duszy. Utworzył był sobie w życiu system postępowania, oparty na ideale piękna i co do litery trzymał się jego. Bujną nadzwyczaj posiadał imaginację, brakło mu jednak rozumu ludzkiego. Nie zdarzyło mi się spotkać z człowiekiem podobnym jemu i nigdy go nie spotkam, jestem pewny.

Wielką cześć miał także dla Walter Scotta, jako dla człowieka i dla literata. Mówił o przyjemności, jakiej doznawał, gdy jego powieści szkockie czytał.

— Czytałem i czytałem jego powieści, z coraz większą przyjemnością.

Z prawdziwym zapałem mówił o prywatnym charakterze szkockiego powieściopisarza,

którego za wyższego od Cervantesa uważał. Do uwielbienia podnosił jego geniusz i przymioty:

— Nigdy nie było tak, abym po przeczytaniu jakiej powieści jego, nie podniósł się umysłowo. Trzy razy czytałem jego dzieła. Jego myśli są tak głębokie i sprawiedliwe, że na ich tle wielkie tomy możnaby napisać. Celuje on w tworzeniu definicji; ten ustęp naprzykład w *Peveril du Pic* jaki jest piękny:

„Odwaga, jest to przytomność umysłu. Prawdziwa waleczność nie leży w tem, aby niebezpieczeństwa nie widzieć, owszem należy mu się dobrze przypatrzyć aby zwyciężyć.“

— Jakaż to prawda — ciągnął dalej Byron, — i jaka cudowna jest ta różnica, określona pomiędzy odwagą *fizyczną* i *moralną*.. Mówiąc o pismach Walter Scotta, można zastosować uwagę pani Dudevant o powieściach Richardsona przytoczoną w korespondencji Voltaire'a:

„Moralność tam jest czynną i nigdy w sposób więcej zajmujący nie była traktowaną. Po przeczytaniu jego powieści, każdy pragnie być lepszym, a co więcej, że wszyscy wierzą, iż nic łatwiejszego jak to uczynić.“

— Sądzę — prowadził dalej Byron — że Walter Scott jest jedynym geniuszem prawdziwym. Wyższość jego przez wszystkich jest uznaną; jest kochanym powszechnie, jako człowiek i jako autor. Taka jest dobroć, szczerość, delikatność i uczciwość charakteru tego człowieka, że samą nawet rozbroja zazdrość. Mam nadzieję że go zobaczę jeszcze przed śmiercią, a myśl ta wydaje mi się słodką, bo moje uczucia poszarpane i zniszczone, jeszcze do niego przylegają.

Zdanie to tak niezwykłe u Byrona dowodzi, że umiał przyjaźń ocenić, chociaż tak nią szastał i tak o niej powątpiewał z szyderstwem i satyrą, tak stosował ją do chwilowej fantazji i humoru.

Rzadko jednak dobrze wyrażał się o kimś i już nie było zdaje się nikogo, o którymby tak mówił, jak o powyższych mężach. Dla innych słowa jego są ostre, zaprawne solą atycką i gorzkie, szyderskie, pełne sarkazmu i żółci. Widocznie więc, że dusza jego była dotkniętą w najżywszych uczuciach.

Ciekawą jest, dla lepszego poznania tej strony charakteru jego, rozmowa jaką miał z hrabiną Blessington, o znanej francuskiej autorce, pani de Stael. Byron nadzwyczaj zręcznie umiał rany zatrutą szpadą zadawać i to tak raziło szlachetną lady, że często spotkać się można w jej pamiętnikach z oburzeniem, w którem odmawia wszelkiej sympatji człowiekowi, depczącemu tak świętokradzko wszelkie iluzje ducha i rzucającemu w błoto uczucia najświętsze. Z tem wszystkiem jednak ubolewała nad losem Byrona, żałując go często w swoich pamiętnikach.

Byron w istocie był przykrym w pożyciu, nie jednego irytowała ta jego gorycz, którą zaprawiał wszystkie słowa swoje. Zapytywany, dla czego tak wszystkich sarkazmem swoim obrzucał, spokojnie odpowiadał:

— Mówię zawsze o tem wszystkiem, co mi do głowy przyjdzie, bez najmniejszej uwagi na nikogo. Zdarza mi się często, że żałuję, ale to już po niewczasie.

Taki wydawał sąd o pani de Stael:

— Ta kobieta nie mówiła, deklamowała zawsze. Zatrzymywała się tylko, aby oddychać. Jeśli ktoś ze słuchaczy czynił jej jakąś uwagę, nie słuchała go wcale, ciągnęła rozmowę w sposób niezachwiany.

Powiedzmy zaraz, że Byron w tym samym stopniu posiadał to, co zarzucał pani de Stael.

— Była bardzo wymowną — mówił dalej — a gdy jej wyobraźnia bujna rozgorączkowała się, warto było ją posłuchać. *) Więcej potęgi imaginacyjnej posiadała, aniżeli rozumowej; może dla tego, że więcej pierwszej oddaną była, niż drugiej. Zagłębiała się często w rozprawy filozoficzne, ale wprowadzona raz na ścieżki tego metafizycznego labiryntu, nie wiedziała jak z niego wybrnąć; zapał i wyobraźnia, które tam ją wprowadziły, były bezwładnemi, aby ją z tamtąd wyciągnąć. Na każdym kroku poznać było można, że brak jej wykształcenia matematycznego, któreby stało się dlą niej balastem i busolą, potrzebną dla utrzymania jej w przystani rozsądku. Pomimo całej zręczności, jaką posiadała, i za pomocą której starała się ukryć przegranę i chciała wycofać się z pola walki, zdrowy logik byłby mógł w każdym razie przeciąć jej wszelkie komunikacje i zmusić do kapitulacji... Biedna pani de Stael!... Nigdy nie zapomnę dnia pewnego, w którym znajdowałem się z nią na wielkim obiedzie w Londynie. Z jej gorsetu wydobył się fiszbin i tak niemiłosiernie wyszedł, że przedziurawił jej staniczek. Chociaż używała całej swojej siły, aby zaradzić złemu, i rączki sobie zakrwawiła, fatalny fiszbin nie chciał uwolnić nieszczęśliwej. Po tych jednakże okropnych wysileniach, nie tracąc przytomności, zwróciła się z rozpaczą do lokaja, który stał za jej krzesłem i poprosiła go, aby jej go wyciągnął. Operacja ta jednak nie mogła odbyć się inaczej, jak w ten sposób, że lokaj położył jedną rękę na ramieniu pani de Stael, a drugą na piersiach pacjentki, i używał całej swojej męzkiej siły!... Ach, gdybyś milady widziała wtedy ponsowe twarzyczki naszych córek Albionu, zarumieniła byś się za nich, szczególniej jednak za bohaterkę, która nie wiedziała, że popełniła największa zbrodnię przeciw *naszej angielskiej przyzwoitości*... Pani de Stael *myślała po męzku*, ale *czuła po kobiecemu*. Świadkiem owa awantura z p. Rocca, raczej z owem małżeństwem, którego nikomu wyjawić nie chciała, bo jej więcej chodziło o renomę autorki, aniżeli o reputację kobiety. Małżeństwo to jednakże zdradziło w niej słabość serca, której nie miała odwagi odkryć... Największem jej zadowoleniem było uchodzić za nieszczęśliwą ofiarę prześladowania Napoleona I; dla tego też najlepszy środek doprowadzenia jej do ostatniego gniewu, było powiedzieć lub dać jej do zrozumienia, że ten wielki człowiek, nie był bynajmniej na nią zagniewany i że sobie sama przesadzała owo prześladowanie. Można łatwo z tego wywnioskować, że chciała pokazać ważność swoją polityczną i literacką, która tak wielką była wedle niej, że Napoleon lękał się jej, widząc kobietę mogącą zagrozić państwu. Nie jeden człowiek posiada podobną słabość. Wszyscy ludzie talentu dzielą się na tym świecie na dwie kategorje. Do jednej należą ci, którym zdaje się zawsze, że są znienawidzeni i prześladowani, do drugiej znowu ci, którzy sądzą, że świat ich uwielbia. Błędna ta próżność jest powszechną; więcej przesadzona jednak u ofiar, aniżeli u uprzywilejowanych, gdyż trzeba czuć się niezmiernie wyższym od drugich, aby usprawiedliwić owo pojęcie nienawiści i prześladowania, wymierzone przeciw sobie.

*) W czasie, w którym bierzemy Byrona, p. de Stael już nie żyła, umarła bowiem w 1817 roku.

Wyrazy lorda Byrona lekki wywołały uśmiech na usta słuchaczki, czującej dobrze, że to co mówił i do niego zastosowanem być by mogło. Gdy spostrzegł ten uśmiech i zrozumiał go, z udaną zawołał wesołością, słabo pokrywającą tłumiony jego gniew.

— Wiem, dla czego pani się śmieje. Sądzisz milady, żem sobie samemu wydał proces, uznając się winnym próżności?

— Wyznaję — odrzekła hrabina Blessington — że taką miałam myśl. Ileż mi razy wspomniałeś pan, że wszyscy cię nienawidzą, że w Anglji lękają się pana; na co naturalnie nigdy się nie zgadzałam.

Próbował jeszcze kilkoma argumentami dowieść, że nie miał w sobie próżności, że mówił, sądząc po faktach, lecz gdy spostrzegł, że uśmiech lekkiej ironji ciągle panował na ustach hrabiny, wybuchnął na serjo:

— Doprawdy, milady — zawołał — masz nadzwyczaj nędzne o przyjaciołach swoich wyobrażenie. Przytem nie pamięta pani dobrze; miesza pani zdania i przypisuje drugim to, co nie do nich powinno być stosowane.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

KRONIKA NAUKOWA

Paryzka wystawa elektryczności. — Elektromotory. — Przesyłanie siły na znaczne odległości.

Teraz gdy już wystawa jest całkowicie ukończona i przedstawia się w świątecznem ubraniu, możemy rozpocząć dalsze po niej wędrówki.

Pałac pól elizejskich jest najkompletniejszem muzeum elektryczności jakie dotychczas widziano.

Ogólne wrażenie, jakie się z przedmiotów na wystawie znajdujących odbiera, jest to, że elektryczność, najlepiej się nadaje do zużytkowania tam, gdzie chodzi o działanie w wielkiej odległości.

Najwyraźniej widzimy to na telegrafach i telefonach. Jestto pole, na którem elektryczność nie da się niczem zastąpić. Prąd wytworzony na jednem miejscu, przenosi się z szybkością nieopisaną na tysiące kilometrów odległości i tam wykonywa pewną mechaniczną pracę na aparacie telegraficznym. Ale ilości prądu przebiegające po drucie są bardzo małe, więc i praca wykonana może być tylko bardzo drobna.

Wynalazcy szukają w obecnej chwili sposobów przesyłania po drucie potężnych ilości prądu, aby módz na drugim końcu poruszać za pomocą otrzymanej elektryczności większe machiny. Lecz dotąd wszystkie próby w tej mierze robione okazały się niepraktycznemi.

A zadanie to wielkie, które najbliższa przyszłość stanowczo rozstrzygnąć powinna. Przy teraźniejszym stanie rzeczy, chcąc mieć w domu zapas siły do poruszania warstatu, machin do szycia lub też podobnych przyrządów, należy ustawiać osobną machinę parową lub gazową, dostarczającą robotę, albo też używać ludzkiej pracy. Gdyby jednak można było rozsyłać daleko za pomocą drutów prąd elektryczny, to sprawa byłaby znacznie uproszczoną. W środku miasta postawionoby potężną fabrykę, w której prąd wytwarzałby się na olbrzymią skalę i ztamtąd po drutach, jak po siatce pajęczej, rozbiegałby się po całem mieście. Abonenci na elektryczność, mo-

gliby wtedy w każdej chwili korzystać z siły, wprowadziwszy tylko prąd do elektromotorów, umieszczonych w ich mieszkaniu.

Rzecz ta jest zupełnie możliwą i próbowaną, lecz jak zwykle w początkach bywa, okazało się, że siła z drutów otrzymywana jest zbyt droga. Prąd wysłany z jednego końca drutu, przychodził do drugiego w stanie wielkiego osłabienia. Przyczyniały się do tego różnorodne straty po drodze, wynikające z niedokładnego odosobnienia drutów, ze zbyt wielkiego oporu, gdy chodziło o wielkie odległości i t. p. przyczyn.

Mimo to jednak urządzenie tego rodzaju ma już obecnie różnorodne zastosowania. Niejednokrotnie wspominaliśmy np. o próbach robionych w Sermaize z orką elektryczną. Czytelnicy nasi przypomną sobie, że prąd wyrabiany w cukrowni przesyła się po drutach na pole i porusza tam windy, które z kolei rzeczy ciągną pługi. Na wystawie znajdujemy w komplecie, całe opisywane dawniej przez nas urządzenie. Dyrektor fabryki w Sermaize pan Félix, z zadziwiającą wytrwałością stara się zastosowywać elektryczność do wszelkich wymagań fabryki i rolnictwa. Wystawa jego jest bardzo zajmującą, lecz nie potrzebujemy się przy niej dłużej zatrzymywać, gdyż już jest dobrze znana.

Lecz w Sermaize nie chodziło o zbyt wielkie odległości. Prąd przesyłano zaledwie o 400 metrów odległości i dla tego otrzymywano stosunkowo tak dobre rezultaty. Gdyby trzeba było iść dalej, to już takie urządzenie nie opłaciłoby się wcale.

Wskutek prób nieudałych, zapanowało takie zniechęcenie, że nawet motorami elektrycznemi mało się w ostatnich czasach zajmowano.

Dopiero teraz, wystąpił znowu odważnie do walki znany uczony p. Marcel Deprez, którego prace na polu elektrycznem oddawna są znane i cenione. Twierdzi on, że ekonomiczne zużytkowanie siły elektrycznej, w znacznych odległościach jest zupełnie możliwem; należy tylko odpowiednio przebudować motory, aby otrzymać wcale zadawalające rezultaty.

P. Marcel Deprez jest tak poważnym badaczem, że chętnie mu wierzymy na słowo, gdy niedawno wypowiedział publicznie zdanie, że zdoła na pięćdziesiąt kilometrów, bez wielkiej straty, po drucie nie grubszym od drutu telegraficznego, przesłać znakomite ilości siły, dochodzące kilkudziesięciu koni parowych.

Wtedy zadanie byłoby rozwiązanem i można byłoby myśleć o wprowadzenie w użycie pomysłów już oddawna kiełkujących w głowach wynalazców, żeby zużytkować wielkie siły przyrody, daremnie dla człowieka ginące, jak np wielkie wodospady. Ujarzmienie Niagary byłoby rzeczą możliwą. Ustawionoby tam potężne machiny hidrauliczne, poruszające machiny dynamo-elektryczne, a wywiązany prąd rozsyłanoby po drutach do miast okolicznych.

Na wystawie p. Deprez zrobił transmisją elektryczną na długość 2,000 metrów. Wzdłuż przewodnika poustawiane są różnego rodzaju maszyny; wprowadzone w ruch za pomocą elektryczności. Widzimy tam tokarnie, maszyny do szycia, piły itp. mniejsze i często używane warsztatowe przyrządy. Każda z tych machin ma swój osobny mały motor, który jest tak urządzony, że prąd zabiera tylko tyle, ile mu do wykonania pracy potrzeba, a resztę puszcza dalej, do spełnienia dalszych obowiązków.

Przyrządy te funkcjonują wybornie i sądzimy, że po wystawie rozejdą się po całym świecie. Koszta nie są zbyt wielkie. I tak np. poruszanie przez cały dzień maszyny do szycia kosztuje nie więcej nad 60 centymów.

Każdy sobie łatwo przedstawi wygodę, którą się otrzyma, gdy za nakręceniem śruby w mieszkaniu można będzie zapędzić do roboty siłę elektryczności i oszczędzić sobie tym sposobem pracy rąk własnych.

Nie możemy się wdawać w szczegółowe rozbieranie odkryć Depreza. Są one zbyt specjalnej natury. Jednak w wykonaniu jest prostota nadzwyczajna i każdą maszynę dynamo-elektryczną Gramma można przerobić na motor według systemu Depreza, zwiększając tylko liczbę obrotów i nawijając na kółko drut cieńszy.

Maszyny Gramma, o których mowa, nietylko że należą do wywiązujących najtaniej, największą ilość prądu, ale obok tego okazały się najlepszemi elektromotorami. Jeżeli postawimy obok siebie dwie takie machiny i prąd wywiązany w jednej, puścimy do kółka drugiej, to zdołamy napowrót wydobyć znaczną bardzo ilość pracy mechanicznej, włożonej do pędzenia pierwszej machiny. A ponieważ takie machiny możemy ustawić zdaleka od siebie, połączywszy je drutami, więc mamy możność przesyłania siły na znaczną odległość.

Na wystawie znajdujemy bardzo liczne zastosowania tej zasady. Widzimy tam wentylatory, oczyszczające powietrze, silne pompy wodne, świdry do dziurawienia skał w tunelach i t. p. poruszane maszynami dynamo-elektrycznemi Gramma.

Na takich urządzeniach mamy przykład wielce pouczający ciągłej zamiany sił przyrody. Jest to historja, którą zacząć trzeba od czasów przedhistorycznych. Słońce zbudowało rośliny, przed wiekami, osadzając w ich tkance węgiel, z kwasu węglowego zawieszonego w powietrzu.

Następnie, przy zmianach geologicznych rośliny te przeszły w głąb ziemi i utworzyły tam pokłady węgla kamiennego. Energją zawartą w węglu zużytkowujemy pod kotłem machiny parowej. To co słońce w roślinach nagromadziło, wywiązujemy napowrót przez zapalenie. Cały zapas energji przenosi się do machiny parowej. Ta z kolei rzeczy obraca machinę wywiązującą elektryczność. Prąd przebiega po drutach do innej maszyny i tam ostatecznie wydaje napowrót zasób pracy mechanicznej, którą w rozmaity sposób zużytkować możemy.

Naturalnie, że przy każdej z takich zamian tracimy część energji; i dla tego ostateczny rezultat dotychczas nie był tak znakomitym. Tych właśnie strat trzeba uniknąć w przyszłości.

Inaczej rzecz się przedstawi, gdy elektryczności nie używamy do pracy w odległości, ale chcemy jej używać, tuż przy miejscu, gdzie się ta siła wywiązuje. W tym wypadku nie opłaci się wcale, wydobyć prądy przez zastosowanie machiny parowej. Oczywiście, że lepiej jest wziąć odrazu siłę pary, nie zamieniając jej wprzódy na elektryczność. Zadanie to więc, którego nie warto rozwiązywać, chyba że zdołanoby ująć w karby elektryczność powietrzną, lub elektryczność ziemi, jak się ujarzmia siłę wiatrów i spadku wody, które nic nie kosztują.

Albo też można wtedy brać elektryczność wywiązaną na drodze chemicznej. Dostarczają ją wszystkie znane powszechnie stosy Bunsena, Grovego i mnóstwo innych wynalazków. Zamiany chemiczne, wchodzące wewnątrz tych stosów, wywiązują prądy. Lecz zużywa się przytem wielka ilość ciał w stosach używanych, a głównie cynku, który zbyt dotąd wiele kosztuje, rezultaty więc nie są wcale ekonomiczne. Mimo to na wystawie widzimy kilka prób tego rodzaju. I tak np. na środkowym basenie, pływa łódka pomysłu p. Trouvé, w której prąd potrzebny do obracania śruby, otrzymuje się drogą chemiczną. W każdym jednak razie jestto tylko ładna zabawka, drogo kosztująca.

Interesującem zastosowaniem motorów elektrycznych, jest kolej Siemensa, która przenosi publiczność z placu Concorde, do gmachu wystawy. Przez długi czas, nie chciała ona chodzić wcale, dopiero od niedawnego czasu, zaczyna pracować regularnie, ku wielkiemu zdumieniu gapiów, którzy przy wagonie, nie widzą żadnej lokomotywy, ani w ogóle pociągowych maszyn. Budowa tego elektrycznego tramwaju jest bardzo prosta. Motor elektryczny jest umieszczony pod spodem wagonu, a prąd zbiera się z dwóch przewodników elektrycznych, umieszczonych na słupach wzdłuż drogi. W czasie biegu, po tych przewodnikach szerzą się kółka, które bez przerwy potrzebny prąd zbierają.

Zresztą w rozmaitych zakątkach wystawy można znaleźć zastosowania motorów elektrycznych. Tutaj poruszają one mały balon, umieszczony na osi, około której musi się ciągle obracać, tam cały szereg maszyn do szycia funkcjonuje przy ich pomocy, indziej znowu wprowadzają w ruch zegary, sygnały i wiele innych tego rodzaju przyrządów.

Zawsze jednak odbieramy to wrażenie, że mamy przed sobą jedynie tylko pierwsze i niedokładne próby. Wszystkie te przyrządy noszą na sobie charakter niepewności i niewykończenia. Dziwić się temu nie można. Nauka elektryczności jest tak młodą, a nawet jeszcze tak niedojrzałą, że najniżej stoi ze wszystkich nauk fizycznych.

Zobaczymy co będzie za lat dziesięć. Wynalazki kroczą obecnie prędzej, aniżeli „umarli" z niemieckiej ballady.

B. Abakanowicz.

NIEGODZIWY

Helenko! Żal, żal szalony
Przygniata mój umysł tkliwy;
Mój August, mój narzeczony,
Zdradza mnie — jest niegodziwy!

Gdym mu pisała przed rokiem,
Na próbę, że mu nie wierzę,
Pisał z uczuciem głębokiem,
Że sobie życie odbierze.

Dziś, na wymówki najkrwawsze,
Na groźby klasztornej celi,
Pisze — że kocha mnie zawsze,
Ale się już nie zastrzeli!

M. Rodoć.

Kronika Tygodniowa.

Nie podobna jest pisząc we Lwowie w tych czasach, pisać o czembądź innem, jak nie o sejmie i plennym rezultacie prac ojców galicyjskiego narodu. Dni jego, to jest sejmu, policzone, bo w przyszłą sobotę ma być zamkniętym, a dotąd prócz kopytkowego i kilku petycji, nic ważniejszego nie uchwalono. Petycje za to płyną jak woda i liczba ich dochodzi sześciuset, przybywają nowe wnioski Wydziału Krajowego i posłów, lecz do pierwszego czytania, a potem do komisyj. Otoż komisje podobno pracują w pocie czoła, a rezultat tych prac dopiero w tych dniach przyjdzie na porządek dzienny. Pierwsza sprawa, przy której spodziewanem było starcie przeciwnych sobie partji, sprawa założenia internatu dla seminarzystów we Lwowie, pojawiła się we środę i wywołała interesującą batalię. Myśl utworzenia internatu powstała jeszcze zeszłego roku w łonie partji krakowskiej, partji, jak wiadomo, więcej wstecznej niż konserwatywnej, dla której sam wyraz socjalizm już przyprawia ją o dreszcze. Otóż z powodu pojawienia się przed paru laty pewnych, prawdę powiedziawszy, dziecinnych objawów socjalistycznych w seminarjum nauczycielskiem krakowskiem, taka panika opanowała stronnictwo, że na gwałt utworzyli internat w Krakowie, i koniecznie chcą przeforsować na koszt kraju podobny we Lwowie. Komisja sejmowa, której sprawozdawcą jest p. Antoni Małecki, przygotowała wniosek przychylny na utworzenie takiego internatu na 60 uczniów, kształcących się na nauczycieli ludowych kosztem około 26000 zł. rocznie. Opinja ludzi zdrowo zapatrujących się na stosunki społeczne, przeciwną jest internatowi i przez usta posłów ks. Jasienickiego i Michała Popiela oświadczyła to bez ogródki. Poseł Sawczyński, co prawda, ze znakomitą swadą, bronił energicznie projektu, kierując się przeważnie na obudzenie współczucia dla nędzy tych biedaków, kształcących się na nauczycieli w seminarjach, pozbawionych najpierwszych potrzeb życia. Nie zaprzeczamy, że tak jest, i że kraj, o ile stać go na to, powinien przyjść im z pomocą. Lecz dlaczegoż z liczby dwustu kilkudziesięciu wybierać tylko co rok dwudziestu, kiedy można toż samo zrobić dla 260ciu dając im po sto reńskich zapomogi. Dla czego tych wybranych zamykać pod klucz i hodować w cieplarni internatu z regensem, viceregensem i całym sztabem dozorców, kosztujących parę tysięcy rocznie? Gdyby to zrobili na swój koszt wnioskodawcy, a zdaje się, żeby mogli, niebyśmy nie mieli przeciw eksperymentom takim, za swoje trzy grosze wolno panom mieć fantazje. Lecz dla czego kraj cały, a jak się wyraził dowcipnie p. Michał Popiel, fundatorowie bez butów mają łożyć na takie staroświeckie, ciasne i bez rezultatu odgrzewania internatów! Przypuśmy nawet, że internat wychowa porządnych, podług gustu wnioskodawców, nauczycieli, to tych dwudziestu niby ugruntowanych autisocjalistów, jakiż maleńki procent stanowić będą wśród czterech tysięcy nauczycieli ludowych, których Galicja potrzebuje... Są to więc tylko zachcianki przecenione w nadziejach, lecz zachcianki kosztowne, ot chyba żeby na swojem postawić. Kiedy tę rzecz piszemy, kampania jeszcze nie skończona, lecz obawiamy się bardzo, czy większość nie poprze amatorów internatu... W naszym sejmie wszystko jest możebne dla względów pewnych, dla braku cywilnej odwagi w bronieniu przekonań własnych, bo nie wątpimy że w głębi ducha większość naszych posłów nie ma takiego strachu przed widmem socjalizmu, który faktycznie u nas nigdy nie miał i nie ma żadnej racji bytu... Rok 1846 przekonał, zkąd wyszedł impuls, do zbałamucenia umysłów naszego ludu, a przeciw takim uraganom, żaden w świecie internat i nie wiedzieć jak ostre przepisy policyjne nie pomogą... Ot, szkoda w tej chwili ubytku takiego głosu, jak posła Hausnera, i doprawdy, jeżeli sprawy tegorocznej kadencji sejmowej, nie pojdą tak jak kraj się spodziewa, powinien p. Hausner czuć wyrzut sumienia, że już przy tyralierskiej utarczce, ustąpił tak łatwo z placu.

Wszyscy mówią, że uchwała dotycząca otwarcia Banku krajowego, ma wszelkie szanse otrzymania większości głosów sejmu. Niechby przynajmniej choć ta stanowiła dodatni rezultat prac tegorocznych. Projekt rządowy co do zmian administracji, podobno najwięcej zajmuje sfery zatopione w górno-austrjackiej polityce, dlatego podobno tyle się nagadano o nim w komisji i klubach, aby się nikomu nie narazić i gładko ręce umyć. Zlepiono dwa odmienne zapatrywania się na tę sprawę w jeden elaborat i to się nazywa odpowiedź kompromisowa, na wzór wyroków sądów polubownych obywatelskich: *na połowę* nie ch będzie wilk syty i owca cała. Projekt Dunajewskiego, który przynajmniej wiedział czego chce i do czego dąży, został zapomniany, a jednakże jestto rzecz wyższej wartości i żeby go poprawić nieco w głównych postulatach, mógł rzeczywiście służyć za akt do przyszłej organizacji kraju, organizacji stałej, racjonalnej. Półgębkiem wypowiedziana ufność do rządu, a drugim półgębkiem nieufność — dobrą jest dla dworaków odgadujących ze spojrzenia już intencje pana, lecz dla mężów stanu i reprezentantów narodu, podobnie dyplomatyczne siano jest dowodem braku siły przekonań i odwagi wypowiedzenia tego co się myśli.

PAN MINISTER

przez

JULIUSZA CLARETIE.

CZĘŚĆ PIERWSZA

(Ciąg dalszy.)

— Ach, panie ministrze! — ciągnął dalej Molina, zachwycony swem powodzeniem w roli cycerona — trzeba żyć tem życiem, aby je pojąć. Pan musisz się wżyć w nie! nie ma nic zabawniejszego! Świat to zupełnie inny. Piękne dziewczęta wyrastają tu na poczekaniu, jak szparagi. Przywykłeś patrzeć na skaczącego koło ciebie podlotka, wychudłego jak szczapa, a gryzącego orzechy jak wiewiórka. Wtem, zdarza się przypadkiem trzechmiesięczny wojaż, jeden sezon w Vichy albo w Dieppe i fiut! — za powrotem, kompletna przemiana. Z poczwarki wylania się motyl. To już nie podlotek. To kobieta. Łzawe jej oczy dziwnie jakoś spoglądają na ciebie — mięszasz się pod wpływem tego spojrzenia, sam nie wiesz dla czego. Przed pół rokiem byłbyś kupił temu dziewczęciu kasztanów za dwa sous, dziś, bez wahania, ofiarujesz jej karetę! Przedtem siadała ci na kolanach, dziś rzucasz się jej na szyję! I tak, od pokolenia do pokolenia, jest się mimowolnym widzem całej falangi nowozaciężnych, które tu stawiają pierwsze swe kroki, przechodzą następnie do starej gwardji, same sobie stawiają dom inwalidów z ciosowego kamienia i, na paluszkach dochodzą bardzo daleko, jeśli, rozumie się, nie zachorują na kolano...

— Na kolano? — zauważył minister — nie słyszałem nigdy o podobnej chorobie.

— Jest to, panie ministrze, wyrażenie techniczne, nie znajdujące się w *Słowniku ekonomji politycznej* p. Maurycego Blocka; znaczy to, że się nie ma szczęścia... Choroba kolana, to sytuacja wielce interesująca, szkodliwa nie tyle dla nóg, ile na całą dalszą karjerę!

— I choroba ta przytrafia się często, w Operze?

— Cóż pan chcesz, panie ministrze! w zawodzie baletniczym noga tak łatwo powinąć się może!... zupełnie tak samo jak w polityce!

I pan Molina zaśmiał się znowu z własnego, wybornego, jak mu się zdawało, dowcipu i zakładając szkiełko na swój nos, rozdzielony na dwoje niby nos buldoga — zawołał nagle:

— Ach! oto i Marja Launay! ale co u licha trzyma ona w ręku!

Zwinna jak gazella, zręczna i wiotka szesnastoletnia a najwyżej siedmnastoletnia dziewczyna, ale już rozwinięta zupełnie, przebrana za tancerkę indyjską, z żarzącym się ogniem w wielkich niebieskich oczach, stanęła właśnie na progu foyer z arkuszem papieru w ręku.

Wstrząsnęła sznurem fałszywych pereł, spadającym jej na piersi, jakby przeszkadzał swobodzie jej ruchów i szukając przez chwilę oczami w hałaśliwem gronie tancerek — zawołała zdaleka na maleńką, tłuściutką brunetkę, chichoczącą w głębi wśród licznego otoczenia czarnych fraków:

— Andziu! Andziu! ty jeszcze nie podpisałaś!

Brunetka wyrwała się już z koła żywych madrygałów i w kilku lekkich skokach znalazła się obok Marji Launay, która podała jej papier i ołówek.

— Co to, do licha być może? — zawołał Molina.

— Chodźmy zobaczyć! — odparł Granet.

— Może to będzie nie bardzo delikatnie?— zauważył Vaudrey na wpół serjo.

Bankier był już przy dziewczętach i wypytywał piękną blondynkę o treść papieru, odczytywanego właśnie przez brunetkę.

Marja Launay prześlicznie wyglądająca w ufryzowanych blond włosach, uśmiechnęła się szczerym dziecięcym uśmiechem i jasnym dziewiczej czystości wzrokiem spoglądając na towarzyszów Moliny — odrzekła:

— Co to jest? Składka dla panny Legrand.

— Ach! prawda, zapomniałem! Chcecie jej ofiarować statuetkę.

— Nie inaczej, a to z powodu jej odjazdu. Cała opera bierze udział w składce, a nawet i publiczność. Czytaj pan!

I wyjmując z rąk przyjaciółki, podała z gracją Molinie papier, na którym w najdziwaczniejszy sposób, a dziwaczniejszą jeszcze ortografją, pomięszane były przeróżne nazwiska, wypisane to studenckim niewprawnym charakterem, to kilku kreskami przypominającemi grzebanie

kury, co wszystko utworzyło tak komiczną całość, że nawet Molina nie mógł powstrzymać gwałtownego wybuchu śmiechu.

— Ach! panie ministrze! — zawołał. — To coś kolosalnego! Posłuchaj pan tylko: *Amelia Dunois,* 2 franki. *Joanna Garnot,* 5 franków. *Piękne dzieciątko,* 1 frank 50 centimów. *Warnier I,* 2 franki. *Warnier II,* 3 franki. *Baraninka,* 4 franki. *Baron Humann,* 100 franków... Baron! były prefekt!... Humann figurujący pomiędzy *Pięknym dzieciątkiem* i *Baraninką!*... Humann podpisujący swoje nazwisko obok takiego autografu: »*Jadaje pieńdź frankuf*«. Gdyby podać coś podobnego do dzienników, niktby temu nie dał wiary! — Czy tu nie ma między nami ani jednego reportera?! Co za prześliczny byłby z tego artykuł!

Granet muskając czarny swój wąsik, nie spuszczał oka z małej Marji Launay, Andzia zaś, owa druga tancerka, niezmiernie zakłopotana rubasznym śmiechem Moliny, kręciła w paluszkach ołówek i spoglądała na Marją, jakby chciała jej powiedzieć:

— W obecności tych panów nie odważę się nigdy podpisać!

— Pozwól mi ołówka, moje dziecię — rzekł do niej Molina.

Podała mu go, płonąc ze wstydu.

— Gdzie się baron zmieścił, tam znajdzie się miejsce i dla Moliny! — żartował dalej bankier.

Obrócił szrubkę w obsadzce ołówka, a stawiając bez ceremonji nogę na kanapie, napisał na kolanie, ze zręcznością człowieka nawykłego pisać ołówkowe dyspozycje na giełdzie:

„Salomon Molina, 500 franków.“

— O, panie Molina! — zawołała Marja Launay, po przeczytaniu tych słów. To bardzo pięknie! To bardzo szlachetnie z pańskiej strony. Gdyby wszyscy chcieli być równie jak pan wspaniałomyślnymi, statuetka przeznaczona dla panny Legrand, mogłaby być ze złota!

— Jeśli kiedy, moje dziecię, zechcesz mieć dla siebie samej całą grupę dłuta Carpeaux — odrzekł Molina — to przyjedź po nią fiakrem, a... a uwieziesz ją w własnym swoim powozie!

Pomimo grubej powłoki pudru, dziewczę zapłonęło jak czereśnia, a pełen wdzięku, dziewiczy jej gors, przybrał delikatną barwę, przypominającą pączek róży na rozwiciu, co więcej jeszcze dodawało uroku prawie dziecięcym kształtom nadobnej blondynki.

Wśród tego upajającego otoczenia, pełnego pokus, a które coraz mu się więcej podobało, Vaudrey czuł się głęboko wzruszonym. Przed oczyma jego przesuwały się rojenia z lat młodzieńczych, widma w przezroczystych sukienkach, ułudy wiosennych marzeń, tchnące świeżą wonią lilji z Meudon, fijołków z Ville-d'Avray i przypominające rozkoszne wycieczki studenckie. Te lekkie spodniczki przypominały mu białe sukienki migające w cieniu orzechowych lasków; baletniczki podobne były do gryzetek z dwudziestego roku jego życia.

Z kolei i on wyciągnął rękę po papier, na którym Molin tylko co położył swoje nazwisko, i zapytał Marję Launay:

— Pozwolisz pani?

Granet uśmiechnął się nieznacznie.

— W istocie — rzekł — to byłoby coś ciekawego. Chcesz pan pod podpisem *Baraninki* umieścić nazwisko ministra spraw wewnętrznych?

— Ah! to prawda! — odparł śmiejąc się Vaudrey. — Ale uwierzycie mi, czy nie uwierzycie, zapomniałem znpełnie, że jestem ministrem!

— Zupełnie tak samo było ze mną, kiedym został dekorowany! — zawołał Molina. — Wychodząc np. z loży nie chciałem wdziewać zwierzchniego okrycia, twierdząc, że nie jest moje, gdym je zobaczył ozdobione czerwoną wstążeczką. Ale do wszystkiego można się przyzwyczaić! A teraz — i śmiał się coraz mocniej — a teraz, dziwię się nie widząc podobnej wstążeczki przy moim kaftaniku flanelowym!

Vaudrey opuścił zdziwioną Marję Launay i słuchał dalej grubego bankiera, recytującego mu kronikę baletu.

Ah! gdyby pan minister miał więcej swobodnego czasu! Zobaczyłby tam rzeczy najdziwaczniejsze! Pomiędzy baletnikami, naprzykład, znajdował się pewien kamieniarz, który przez dzień sprzedawał nagrobki, a wieczorem tańczył, szczerząc zęby do publiczności. Czatował on starannie na wszystkie wypadki śmierci pomiędzy członkami opery i zapewniał odbyt swoim wyrobom, robiąc entre-chat podczas próby baletowej. Razu jednego Molina znajdował się na próbie. Było to coś nie do uwierzenia! Wśród koryfejek, odznaczał się tam woźny bankowy, w szarem ubraniu, w stosowanym kapeluszu i z blachą na ramieniu; ćwiczył się on w odrabianiu trudnego *pas,* jakie miał wykonać wieczorem, po ściągnięciu należności bankowych. Obok niego tańczyło dziewczę w trykotach i żałobnej sukience. Zdziwiony Molina, prosił o wyjaśnienie i dowiedział się, że dziewczyna ta straciła właśnie matkę. I nie jest-że ten gmach Opery prawdziwą świątynią ironji i antytezy?!...

Gdyby bankier opowiadał był ministrowi wrażenia z podróży do Tombuktu, pan Sulpicjusz Vaudrey nie słuchałby go zapewne z taką przyjemnością i takiem zajęciem. Był to dla niego świat nowy zupełnie, pociągający, kuszący jak owoc zakazany — i nie mógł być innym dla człowieka młodego jeszcze, pracowitego, dla człowieka, który sam sobie zdobył wysokie stanowisko, a Paryż znał tylko tyle, ile go mógł poznać w epoce, kiedy uczęszczał do szkoły prawa. Znał więc: parter w Komedji francuskiej, galerje Luksemburga i Luwru, bibljoteki, archiwa, bale w *quartier Latin,* w chwilach pustoty, i foyer Opery jeden lub dwa razy widziane podczas balu maskowego. Oprócz tego — nic więcej z całego Paryża!

Wielki człowiek prowincjonalny przybywał z Grenobli z pragnieniami Paryżanina. I nagle znalazł się w foyer baletu, gdzie wszystkie spojrzenia zwracały się na niego, gdzie on sam żenował się prawie, ujrzawszy własną swą postać odbitą w płonących od świateł zwierciadłach, w środku salonu, w gronie wydekoltowanych tancerek. Wszyscy spoglądają tylko na niego, badają go i śledzą wzrokiem, usuwają się odeń z obawą, lub wiedzeni interesem, cisną się ku niemu. Nowy minister! Toż to najwyższy zwierzchnik wszystkich tych prefektów, podprefektów i sekretarzy jeneralnych, których okazy figurują tu na aksamitnych sofach tego osławionego salonu!

Wszystkie te spojrzenia, szepty kobiet, objawy niezadowolenia ze strony nieprzyjaznych, wyszukana uniżoność nadskakujących, zaczęły już drażnić ministra, gdy nagle ujrzał idącego ku sobie, a widocznie upatrującego go przez szkiełko, p. Guy de Lissac, który spostrzegłszy go nareszcie, podszedł wprost ku niemu i powitał z widoczną poufałością, umyślnie jednakże miarkowaną pewnym rodzajem etykietalnych skrupułów.

Sulpicjusz rad był jak najprędzej usunąć te skrupuły. Zbliżył się do nadchodzącego, podał mu rękę i rzekł wesoło:

— Wiesz, żem czekał na ciebie. Ty jeden tylko, z moich przyjaciół, nie powinszowałeś mi jeszcze!

— Mój kochany ministrze — odpowiedział w tym samym tonie Lissac — zgodzisz się zapewne, że zostać ministrem nie jest znowu tak wielkiem szczęściem, żeby przyjaciele rzucać ci się mieli na szyję krzycząc: bravo! Wstępujesz na Kapitol, ale Kapitol to nic tak wesołego, abym miał zaraz palić illuminację *à giorno.* Jeżeliś ty szczęśliwy, to i ja nim jestem. Jeżeliś stanął u celu — mogę ci powinszować. I na tem koniec.

— Ty i mój stary Ramel, jesteście najoryginalniejszymi oryginałami, jakich znam na świecie!

— Z tą tylko różnicą, że Ramel jest purytaninem starożytnego pokroju, rzeźbionym w marmurze, a jam sceptyk bulwarowy. Twój stary Ramel — to bronz; a twój przyjaciel Lissac — imitacja bronzu! A najlepszym tego dowodem, że szukałem cię, aby już cię prosić o jedną łaskę.

— I o jakąż to, mój drogi? — zawołał Vaudrey rozpromieniony radością. — Wszystko, czego tylko zażądasz.

— Jestem w loży pani Marsy. Nie znasz jej? Biła ci nieraz oklaski z trybuny w izbie deputowanych. Spostrzegła cię dzisiaj w dyrektorskiej loży i błagała mnie, abym cię jej zaprezentował, albo ją tobie, bo nie wiem jeszcze, jakie są wymagania twojej ekscelencji.

— Pani Marsy? — zapytał Vaudrey. — Czy nie jest ona wdową po malarzu? Wszak to u niej jest salon polityczny?

— Zgadłeś! Salon świeżo otwarty dla rywalizacji z salonem pani Evan! Rzeczpospolita ateńska! Czy to nie sprzeciwia się twoim zasadom.

— Ale i owszem, przeciwnie! Tylko przy pomocy kobiet zdołamy utrwalić Rzeczpospolitą.

— Jak widzę — zauważył Lissac — polityka i zaszczyty nie odmieniły cię wcale!

— Mnie, mój drogi? Z różnicą tylko, że mi przybyło lat dwadzieścia, a włosów na głowie ubyło znacznie więcej — jestem taki sam zupełnie, jakim byłem w roku 1860.

— W *hotelu Rasyna,* przy ulicy *Rasyna!* — dokończył Lissac. Ja, łakomiec, marzyłem wówczas, że zostanę Mussetem — i czemże zostałem? widzem, amatorem, Paryżaninem, jednem słowem, zwykłym przechodniem — niczem innem! Ty, przeciwnie, którego celem marzeń byli: Barnave, Vergniaud, albo Barbaroux, jakże wysoko zaszedłeś! jakże prędko stanąłeś u celu!

(Ciąg dalszy nastąpi).

PISMIENNICTWO.

Obrazki z życia północno-wschodniej Afryki, skreślił Jan Finkelhaus. Warszawa 1881.

(Dokończenie).

Sarkazmu trochę wszędzie się przebija. Czy to właściwość autora, czy to także moda, dość, że spotykamy go nie mało, ale, że idzie on w parze z prawdą, poglądami trzeźwymi, że okrasza go dowcip, więc nie tylko nie razi, lecz owszem urozmaica dzieło, zajmuje czytelnika.

Kiedy jeszcze ciągle o poglądach mówimy, podziwiać należy ich bogactwo, rozmaitość. Autor z wielką łatwością, niewymuszenie przechodzi z myśli w myśl, stosownie do tego, gdzie go unosi opis. Przedmioty przesuwają się raźno, przeskakuje więc i myśl i poglądy roztaczają się bogato, a nigdzie w nich niedopatrzeć monotonności. To ironja odezwie się z rzadka, to humor śmieje się szczerze, to znowu uczucie zabrzmi w całej pełni. Trudno się oprzeć pokusie przytoczenia tu ustępu, zarówno pięknie wypowiedzianego, jak pomyślanego, odczutego. To wstęp do opisu ginącego plemienia Kabylów.

„Czy widziałeś kiedy, czytelniku, twarz konającego, gdy resztkami sił walczy z grożącem, a nieznanem niebezpieczeństwem? Świadomość odbiegła go zupełnie, ale instynkt zachowawczy opiera się jeszcze tajemniczej potędze. Smutny to widok, a tem smutniejszy, że widzi się przed sobą cały konający naród.

„I ludy bowiem także rodzą się i giną. Są narody, które nikną, niby krwawo zachodzące słońce. Wtedy znęcona widokiem ludzkość sypie na ich groby kwiaty współczucia lub podziwu. Inne znowu, żyjąc ciągle fantazją, trują się w końcu marzeniami i wypadają z kolei losów. Ale dzieje się to cicho i powolnie. Nikt tego, zda się, nie dostrzega zdala. Nie rozbrzmiewają nad ich skonem lutnie wieszczów, bo brak tym narodom organów, owego źródła poetów natchnienia. Z marzenia jest tylko droga do łez.

„Ale płacz to cichy i spokojny. To kwilenie schodzącego do grobu dziecka. Chwilami tylko dają się słyszeć huraganowe pobudki zemsty, ale i one rozpływają się w bezsilności i żalu...“

Równie umiejętnie opisuje autor ziemię, przyrodę, handel i przemysł. Jak tu idzie za popędem uczucia i głęboko zagląda w historję ludów, tak tam znowu z całą ścisłością, sumiennością statystyka notuje cyfry, czy one dotyczą wywozu pomarańcz, czy hodowli werben i wyrobu perfum, czy wreszcie wzrostu ludności. A że przeplata to wszystko nieustannie — nie popadając wszakże nigdy w chaos — więc opis ciągle jest zajmujący, coraz to nową zaciekawia wiadomością. Życie maluje wiernie nadzwyczaj i odsłania w niem zarówno stronę powszednią, jak i piękną poetyczną, odświętną. Obyczaje, zwyczaje, zalety i wady, przyzwyczajenia i słabostki, wszystko to występuje w całej pełni, oświetlone jasno, aby nic nie zaginęło w mroku. A czy to autor opisuje biesiadę, czy życie powszednie, codzienne, zabawę czy też uroczystość religijną, zarówno przejmuje się przedmiotem, oddaje mu się z całą uwagą. Nigdzie nie możnaby dopatrzeć się uprzedzenia do tych, lub owych przekonań, nigdzie stawania po jednej stronie, gdy opisuje walkę tubylców z zaborcami. Lecz za to odsłania się inna strona w tych opisach. Autor opowiada nam nie tylko, jako zimny, przedmiotowy badacz, lecz zapala się do wszystkiego co piękne, zachwyca i zachwytem tym zdobi swój opis, kraju i tak już pięknego. A jest to warunkiem niemal niezbędnym, bo inaczej wszystkie te piękne strony kraju zbladłyby pod piórem zimnem, objektywnem, a jednak bezbarwnem. Autor ukochał ten piękny Algier i Tunis i barwi je tęczowemi blaski.

Prześliczny jest ustęp »*Kuany*«, w którym odbija się w całym blasku charakter ludu i jego fanatyczna miłość wiary i wolności. Fanatyzm religijny i namiętne pragnienie wolności, znajdują w ogóle w tym opisie silne pióro.

A przyroda?

I ta zajęła fantazję podróżnika, i ona użyczyła mu swych świetnych barw, ztąd opisy harmonijnie przystają do całości. Na chybi trafi, przytoczymy tu jeden bodaj ustęp:

„Wtedy występowało niebo, strojne we wszystkie piękności wschodu, strojne w olśniewającą barwę afrykańskiego indigo i przeźroczystość godną słonecznych promieni, a oswobodzone z uścisków gwiazdy, wyjrzały także na świat Boży, ale bardziej blade niż zwykle....

„A tu na dole wszystko w niepokoju wyczekiwało rezultatów walki na wyżynach. Ptaki nawet przycichły, i szelest drzew skonał pod wpływem ogólnej martwoty. Odurzający tylko zapach kwiatów wznosił się w przestrzeni. Wonie jaśminów, magnolij i werben splotły się z sobą w harmonijnym uścisku i możne połączeniem zapanowały nieograniczenie nad całym zakątkiem.

„Nawet wody potoku drżały tą upajającą wonią; każde poruszenie wiosła wyprowadzało z wody szeregi pereł i brylantów, które ztęskniwszy się za swymi rówiennikami, plusnąwszy lekko w górę, chowały się znów na dno rzeki.....“

Taką barwność, kwiecistość spotykamy wszędzie. W każdem zdaniu, w każdej myśli przebija, że to turysta z zamiłowania, który kocha przyrodę, kocha ludzi i życie — nie takiemi, jakiemi by one być mogły, lecz jakiemi są. Oto i główna zaleta. Wszędzie prawda, rzeczywistość, nigdzie złudzeń i fantastycznych zmyślań.

Jeślibyśmy o całym opisie mieli mówić, to część druga nieco jest słabszą, bo powtarzają się w niej wrażenia, znane już poprzednio z części pierwszej. Nic to zresztą dziwnego. Charakter krajów tak zbliżony, że wrażenia muszą się powtarzać.

Zresztą, czytane, niech mówią same za siebie.

Zorjan.

TEATR.

Repertoar z ostatnich kilku tygodni wcale był ożywiony. Dyrekcja starała się w rozmaitych kierunkach zadowolnić gusta naszej publiczności, lecz oczywiście z pominięciem klasycznej tragedji, która jeszcze zawsze liczy u nas bardzo mało zwolenników. Przeważnie tedy mamy do zanotowania kilka nowości z zakresu farsy i komedji społecznej. Z utworów dotąd jeszcze nigdy nie granych, przedstawiono najprzód sceniczną arlekinadę pana Chivot *Lokatorowie pana Blondin*, i dość drastyczny w swej przyprawie *§. 47*, dramat Belota. Oba te utwory, jakkolwiek zupełnie odrębnego charakteru, o tyle przecież są do siebie zbliżone, że tak w jednym jak i w drugim usiłowali autorowie zastąpić brak prawdziwie artystycznego pierwiastku surogatem wielce wyrafinowanej kombinacji, działającej na widza doraźnie, ale przemijająco. Dlatego też tak pierwsza sztuka, mimo wysiłków p. Skalskiego (Blondin), jak i druga, mimo skończonej gry p. Nowakowskiej (Kora), nie rokują na scenie dłuższego żywota. Prócz tych dwóch utworów wznowiono głośną społeczną komedję Sardou *Daniel Rochat*, świetnie podtrzymywaną przez panią Parźnicką (Lea) i p. Woleńskiego (Daniel). Nie możemy tu powstrzymać się od uwagi, że z gry p. Lubicza mniej byliśmy zadowoleni. Utalentowany ten artysta, mający niepospolity dar do stwarzania typów wszelkiego rodzaju lekkoduchów, popada dziś coraz częściej w manierę, nie licującą często kroć z nastrojem całej sztuki. Z tego to powodu jego kreacja w *Danielu* wypadła zbyt pospolicie wobec salonowej atmosfery, przenikającej całość.

Po trzykroć powtórzono nową 3-aktową komedję Bałuckiego *Grube ryby*. Sztuka ta znalazła u nas bardzo dobre przyjęcie, na jakie istotnie pod wielu względami zasługuje. Pan Bałucki zaniechał tym razem sondowania naszych ran społecznych, czego się pokusił w roku zeszłym w niebardzo udatnych *Sąsiadach*, a poprzestał na szczuplejszem polu świata miejskiego, który zna tak doskonale, a zatem też i wybornie maluje. Dzięki temu stworzył rzecz bardzo dobrą, pełną życia i naturalnego humoru, odszczególniającą się przedewszystkiem znakomitym rysunkiem charakterów. Mimo to brak tej sztuce artystycznego zaokrąglenia z powodu dość znacznego zaniedbania strony formalnej: expozycja zbyt przejrzysta, a prowadzenie fabuły miejscami zanadto naiwne. Rzecz ta, mimo to wszystko, przy tak wybornej obsadzie, jaką znalazła na lwowskiej scenie, może liczyć na wielkie powodzenie. Pp. Zamojski i Fiszer są w tej sztuce istotnie nieporównani; wszystkie inne role również doskonale były odegrane, nie zaszkodziłoby przecież, gdyby p. Podwyszyński więcej grał, a mniej stroił okropnych grymasów.

Pięcioaktowa komedja, tłómaczona z angielskiego: *Stare głowy młode serca*, nie ukaże się zapewne tak prędko po raz wtóry. Mimo kilku chwil szczęśliwszych nie podobała się ogólnie, tak dla swego układu, jakoteż bardzo niedostatecznego przygotowania. Sprawozdanie z odegrania komedji Augiera *Roazina Fourchambault*, znanej dobrze z lat ubiegłych, tudzież o debiucie panny Kossųt, uczennicy warszawskiej szkoły dramatycznej, odkładamy do najbliższego numeru.

W zakresie wesołej operetki ma obecnie powodzenie J. Straussa *Chusteczka Królowej*. W szeregu wszystkich operetek, przedstawionych u nas ostatnimi czasy, jest to jedna ze słabszych, a pod względem libretta niezawodnie najniedorzeczniejsza.

Repertoar naszej opery potrzebuje gwałtownego odświeżenia, został on bowiem przynajmniej dwa dziesiątki lat po za współczesną historją. Opera ta jeszcze i pod innym względem, tj. pod względem sił artystycznych robi zbyt archaistyczne wrażenie, a chociaż, jak na nasze stosunki, jest jeszcze dość dobra, nie rokuje wcale rozwoju, gdyż większa ilość solistów jest w

tym wieku, w którym tylko o cofaniu się z wyżyn artystycznych może być mowa.

R. St.

* * *

W dość dawno u nas nie granej a znakomitej komedji Augiera „Rodzina Fourchambault" wystąpiła w środę po raz pierwszy panna *Zofia Kossuth*. Był to w ścisłem tego słowa znaczeniu *pierwszy* występ, ponieważ młoda debiutantka dotychczas na żadnej scenie nie występywała. Z tego stanowiska zapatrując się na ten debiut, musimy jak najpochlebniej wyrazić się o nim. Pomijając bowiem tremę nieuniknioną i jej konsekwencje, gra p. Kossuth zasługuje na wszelkie uznanie. Rola Marji Letellier niezawodnie zbyt jest obszerną i trudną na pierwszy popis, należy jednak do tych ról, w których artystka nie potrzebuje jeszcze uciekać się do sztuki: potrzebuje być szczerą, czuć głęboko i dobrze to co czuje wypowiedzieć — jestto rola, w której wolno jej być surową, niewystudjowaną — jak surową, niewystudjowaną jest indywidualność kreolki. — Taką też była Marja, odtworzona przez p. Kossuth. W jej grze czuć było zapał i tę szczerość, która pozwalała debiutantce zapominać często o trwodze, a w takich chwilach szczęśliwych i widz zapominał, że ma przed sobą poczynającą artystkę, i mimowoli zajmował się losem nieszczęśliwej guwernantki. — W całej grze zresztą, złożyła p. Kossuth niezawodne dowody niepospolitej inteligencji i zdolności, bo to, co mówiła, wypowiedziane było z wszelkiem zrozumieniem i należytą deklamacją, co nam służy niewątpliwie za rękojmię, że debiutantka pozbywszy się tremy, krępującej swobodę ruchów i głosu, w bardzo krótkim czasie złoży dowody i swego talentu. Nadto posiada młoda ta artystka niezwykle połączone wszystkie warunki sceniczne, bo piękny wzrost, talję, wyraziste rysy i głos dźwięczny i bardzo sympatyczny.

Mówiąc o środowem przedstawieniu „Rodziny Fourchambault", podnieść musimy znakomitą grę p. Aszpergerowej, w roli matki Bernarda i p. Woleńskiego, który po raz pierwszy grał Bernarda, i oddał tę rolę z wielką jednolitością i konsekwencją. P. Kwieciński był doskonałym Leopoldem.

H. J.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literackie, artystyczne i naukowe.

*** *Pan Tadeusz, illustrowany przez Andriollego.* Odkładając obszerniejszą recenzję o tej najnowszej pracy ołówka znakomitego naszego illustratora aż do wyjścia kompletnego dzieła, nie możemy się powstrzymać od wypowiedzenia kilku słów uznania już dzisiaj, gdy połowę tego arcydzieła polskiego wieszcza, posiadamy w ręku. Twórca illustracji do Marji Malczewskiego, — do Kwestarza Chodźki, — do bohaterek poezji Słowackiego i do starej baśni Kraszewskiego, miał tu wdzięczne — a bodaj czy nie najwdzięczniejsze pole, do wystąpienia w całym blasku swego talentu i natchnienia artystycznego. I nie powiemy, aby się to w znacznej części p. Andriollemu nie udało. Sceny zwłaszcza jak ks. Robak w gronie szlachty, Gerwazy w sali Horeszkowskiego zamku, Hrabia wjeżdżający do zaścianku w Dobrzyniu, wreszcie sam Maciej Dobrzyński w gronie królików sypiący im zieloną jarzynę pełne wdzięku i oryginalnej inwencji. Pełno w nich ruchu, żywej charakterystyki i błysków szczęśliwej intnicji — która zawiodła jednak artystę, tam, gdzie szło o pochwycenie rysów kobiecych. Dla tego też, chwaląc tamte illustracje p. Andriollego, nie możemy zgodzić się na pojęcie „jego" Zosi i „jego." Telimeny... Coś im obu brakuje z tego, co się nazywa odczuciem, odgadnieniem charakteru, jaki im nadał poeta. Ujemne te jednak w naszych oczach, strony illustracji „Pana Tadeusza," opłacają sowicie inne rysunki, których w każdym zeszycie jest po dwa duże i jeden tekstowy — oprócz inicjałów i zakończeń, zawierających zawsze jakąś myśl z treści poematu wysnutą. W każdym razie, illustrowana edycja takiego poematu jak „Pan Tadeusz", jest pożądanem zjawiskiem w naszej literaturze, tak ubogiej w podobnie wytworne edycje. Przytem, cena stosunkowa tania, bo tylko 1 zł. 80 ct. za zeszyt wynosząca (zeszytów będzie 12) umożliwia każdemu ziszczenie nadziei nakładcy, które on, w publikowaniu tej pięknej illustracji pokładał.

*** P. Robert Rischka, profesor wyższej szkoły realnej w Jarosławiu, przełożył na język niemiecki Lillę Wenedę Słowackiego. O przekładzie tym pomówimy wkrótce obszerniej.

*** Wyszła z druku w oddzielnej odbitce broszura p. t. „Brzegi Dniestru na Podolu Galicyjskiem", napisana przez Dr. Emila Dunikowskiego. Praca ta była drukowaną w „Kosmosie."

*** P. Zygmunt Jaroszewski wydał świeżo broszurkę o sorgo, nowej cukrodajnej roślinie, przedstawionej na obecnej wystawie ogrodniczej. Autor, zalecając produkcję sorga rolnikom naszym, wskazuje w swojej pracy warunki uprawy i sposoby otrzymywania syropu cukrowego, jakie z produkcji sorga osiągnąć można.

*** Literaturę medyczną wzbogacił młody lekarz, pan Wajdecki, rozprawą: »*Untersuchungen über die Anatomie, Phisiologie und Entwickelung von Sternaspis.*« Rzecz drukowana w Wiedniu znalazła pochlebne uznanie krytyki.

*** W czasopiśmie *Svetozor* umieszczono przekład wiersza Syrokomli „O zaklętym skarbie." Tłumaczenia dokonał Nieczob.

*** Czasopismo chorwackie *Wieniec* wzmiankuje o polskim przekładzie Holzwartha i oddaje pochwały tłumaczowi za rozszerzony wykład rzeczy słowiańskich.

Podług tego tekstu obecnie dokonywa się przekład w Zagrzebiu.

*** W papierach Donizettego znaleziono wykończoną operę »*Il duca d' Alba,*« która niewiadomo, czemu tak długo spoczywała w tece nieznana.

Utwór rzeczony ma być przedstawionym w Paryżu tej zimy.

*** Na zjeździe archeologicznym, odbywającym się obecnie w Tyflisie, wybrano Warszawę na miejsce następnego kongresu archeologów.

Społeczne i ekonomiczne.

*** Nie ulega już wątpliwości, że w istocie sprowadzono do Anglji 6000 centnarów kości ludzkich, wykopanych na pobojowiskach w Plewnie, a to jako nawóz dla okolic Bristolu i Worcester.

Dzienniki angielskie wymieniają nazwę okrętu (bryg handlowy „Milowic"), który przetransportował te kości do Penner-Wharf, na rachunek kilku firm komisowych.

Piąta część ładunków składała się ze szkieletów zwierzęcych, cztery piąte zaś należały do *species homo!*

Kości bohaterów plewnieńskich już dziś są zmiażdżone w stępach i rozwiezione po polach, a tylko zatrudnieni przy stępach owych robotnicy ukradkiem rozebrali pomiędzy siebie co najpiękniejsze piszczele i żebra, jako pamiątki z Plewny...

Nic zresztą, niestety, nie stało się tu nowego!

W r. 1830 przywieziono do Hull miljon „pęków" kości ludzkich z pobojowisk pod Lipskiem, Austerlitz i Waterloo, które skruszone w Jorkshire użyte zostały jako nawóz przez farmerów w Doncaster.

*** Pomiędzy ludnością Minnesoty tworzy się nowa sekta religijna pod imieniem „Dreamers" (śpiących)

Owi „śpiący" odrzucają wszystkie uznane dotąd objawienia i chcą się jedynie stosować do snów, zsyłanych im przez Niebo.

Umiejętny wykład tych snów należy do „nadsekciarzy".

*** Według zestawienia „Medic. Zeitung," na 10,000 mieszkańców przypada we Włoszech 6·10 lekarzy, we Francj—2·91, w Niemczech—3·21, w Austrji 3·41, w Węgrzech—6·10, w Szwajcarji—7·06, w Anglji—6, a w Ameryce północnej—16·24.

*** W refektarzu katedry pelplińskiej odkryto starożytne freska, przysłonięte pokładem wapiennym.

Fakt rzeczony przeszedł u nas niepostrzeżenie, tymczasem angielskie „Atheneum", wzmiankując o nim, nadmienia, że podobizna fresków tych ukaże się niezadługo w miejscowej illustracji.

Na wiarę pomienionego czasopisma, zwykle dobrze poinformowanego, wiadomość powtarzamy.

*** Dzienniki angielskie zapewniają, iż niejaki Ribeiro de Sonzo, Brazylijczyk, rozwiązał problem steru balonowego.

Wynalazca przedstawił swój pomysł dyrekcji instytutu politechniczego w Rio de Janeiro, która uznała go za wykonalny, na skutek czego władza prowincjonalna w Para dała p. Sonzo 50,000 franków subwencji, na dalsze prowadzenie prób.

Szczegóły pomysłu trzymane są w ścisłej tajemnicy.

*** Jedna z niemieckich gazet opowiada fakt, świadczący o postępie medycyny.

Do Berlina przybył młody egipcjanin szalenie oszpecony wybuchem petardy.

Twarz jego i szyja przedstawiała jedną ranę, kilku miesięcy trzeba było na usunięcie niebezpieczeństwa śmierci.

Doktorzy egipscy uratowali życie, ale w obec strasznych ran byli zupełnie bezsilni.

Wówczas poradzono mu, aby udał się do Berlina, co też egipcjanin uskutecznił.

Stanąwszy w stolicy Niemiec, chory zgłosił się do znanego doktora berlińskiego Langenbecka, i oddał się jego pieczy...

Doktor postanowił zrobić co tylko będzie w mocy i cały oddał się pacjentowi.

Z kawałków ciała wyjętych mu z ramion i nóg „uszył" mu twarz...

Najgorzej było z szyją, na której nic prawie ciała nie zostało.

Doktor L. namówił młodą i tęgą dziewczynę, aby pozwoliła sobie ująć ciała, z którego następnie zrobiono egipcjaninowi szyję i dziś „wyrestaurowany" egipcjanin posiada wszystko, z czego go odarł wypadek...

Niestety! nikt go poznać nie może, doktor Langenbeck bowiem zrobił mu twarz do dawnej niepodobną!...

Z Drukarni „Gazety Narodowej"

Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.